ALEXI ZENTNER

DOTYK

PREMIERA: 23 WRZEŚNIA 2013

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 2 }

Mężczyźni spławili kłody wcześnie, we wrześniu. Łańcuch bezgłowych drzew wypełniał rzekę dużo dalej niż ja i pozostałe dzieci mogliśmy widzieć. Mój ojciec, który był brygadzistą, stał na szczycie rynny do spuszczania bali i ponaglał ludzi, pokrzykując na nich i potrząsając okaleczoną ręką. „To są pieniądze w wodzie, chłopcy!" – grzmiał. „Dalej, dalej!" Miałem tego lata dziesięć lat i pamiętam ojca jako olbrzyma.

Pomimo uszkodzonej ręki wciąż mógł obsługiwać jeden koniec długiej piły. Prowadził ją z brzękiem przez drewno tak szybko, jak większość mężczyzn robi to obiema rękami. Ale drwal z niesprawną ręką nie może wiosłować na rzece. Kiedy mężczyźni pławili drewno, ojciec obserwował ich ze środka zbitki kłód, gdzie drzewa były bezpiecznie zwarte, i trzymał się z dala od chybotliwego i oddzielającego się groźnie ciężkiego drewna na brzegach ładunku. „Minie kilka dni, zanim spław dotrze do Havershand'- powiedział. Ludzie mało spali i ciągle mieli się na baczności. „Uważajcie na nogi, chłopcy. Wirujące kłody mogą was zmiażdżyć". Pod drewnem zawsze czekała głębia zimnej wody. Mężczyźni rozstawiali namioty pośrodku zbitki, gdzie kłody były upchnięte tak ciasno, że tworzyły twardy grunt, stały ląd, miejsce, gdzie można się przespać kilka godzin, zjeść twarde herbatniki i wypić kubek herbaty. Po dotarciu do Havershand kłody wędrowały dalej pociągiem, już bez ojca – na południe, by stać się podkładami kolejowymi, albo dwa tysiące mil na wschód, do Toronto, a potem frachtowcami do Bostonu lub

Nowego Jorku, gdzie wyniosłe drzewa zostawały belkami i krokwiami w obcych miastach.

Pamiętam ojca jako olbrzyma, chociaż matka przypominała mi, że nie był tak wysoki, żeby musiał się schylać, przechodząc przez próg naszego domu – małej chaty brygadzisty z krytym gankiem, stojącej za tartakiem. Wiem z opowieści, które snuł ojciec, kiedy byłem mały, że wyobrażał sobie własnego ojca – mojego dziadka, Jeannota – w ten sam sposób: jako giganta. Nigdy nie widział mojego dziadka, musiał więc polegać na opowieściach zasłyszanych od moich dziadków ciotecznych, Rebeki i Franklina, którzy wychowali go jak własne dziecko, kiedy Jeannot opuścił Sawgamet, i od innych kobiet oraz mężczyzn, którzy znali mojego dziadka. Właśnie te historie ojciec opowiedział z kolei mnie.

Własne wyobrażenie o Jeannocie miałem już długo, zanim go spotkałem, zanim mój dziadek wrócił do Sawgamet. Ale spotkanie z nim, usłyszenie tych samych historii z jego ust nie ułatwiło mi bynajmniej oddzielenia mitów od rzeczywistości. Opowiedziałem niektóre z tych samych historii moim córkom – czasem prawdziwe wersje, które przekazał mi Jeannot, czasem strzępy opowieści, które dotarły do mnie przez innych ludzi i od ojca, a czasem po prostu to, co wydaje mi się, że się stało albo co chciałbym, żeby się stało. Lecz nawet kiedy przekazuję córkom opowieści o własnym ojcu, to i tak trudno mi stwierdzić, ile zmieniło się w mojej wersji.

Trzydzieści lat mija od owego lata, gdy byłem dziesięcioletnim chłopcem – moja najstarsza córka właśnie skończyła dziesięć lat – i chciałbym sądzić, że moje córki postrzegają mnie tak samo jak ja mojego ojca, ale trudno sobie wyobrazić, żeby tak było; mój ojciec pracował przy wycince, obalał drzewa, a gdy był młodszy, uczestniczył w spławach – wydostawał kłody z wirów i prądów oraz usuwał zatory na trzydziestu kilometrach od Sawgamet do Havershand. Ja natomiast powróciłem do Sawgamet jako anglikański pastor, wróciłem do domu, by żyć w cieniu ojca i dziadka w drwalskim miasteczku pozbawionym młodych mężczyzn, którzy wyjechali do Europy, by walczyć w drugiej wojnie, jakiej jestem świadkiem za mojego życia.

Nie było mnie tyle czasu. Gdy miałem szesnaście lat, wyjechałem do seminarium w Edmonton, a potem przepłynąłem Atlantyk, by służyć

www.facebook.com/wiatrodmorza

jako kapelan wojenny. Wróciłem w czerwcu 1919, a ze statku zszedłem w dniu, gdy podpisywano traktat wersalski. Matka chętnie widziałaby mnie w domu, ale skoro w Sawgamet był pastor Earl, nie było potrzeba drugiego anglikańskiego duchownego. Wylądowałem w Vancouverze, z własnym nowym kościołem i własną żoną. Wracałem do Sawgamet na odwiedziny, choć były one nieczęste, teraz jednak wróciłem na prośbę pastora Earla, by przejąć po nim parafię anglikańską. Poprosił mnie o to, jeszcze zanim stało się jasne, że moja matka umiera, ale i tak przybyłem nieomal za późno. Już niedługo – dziś w nocy, jutro rano – moja matka umrze, a ja będę musiał napisać mowę pogrzebową.

Mam dosyć doświadczenia w wygłaszaniu wyświechtanych kazań o tym, że Bóg działa w nieodgadniony sposób, by wiedzieć, że nie da się wyśledzić boskich ścieżek. Chociaż jeśli miałbym być szczery, musiałbym przyznać, że o ojcu i dziadku również myślę jak o bogach. Nie chodzi mi o bogów w sensie religijnym, ale raczej o takich bogów, którzy – według miejscowych wierzeń – poprzedzali nas w tych północnych kniejach. W tym znaczeniu mój ojciec i dziadek istotnie byli bogami – obłaskawili puszczę i przynieśli cywilizację do Sawgamet, a w historiach, które zostały mi przekazane, nie sposób określić, co jest mitem, a co prawdą.

Pozostało tylko kilka tygodni – teraz już minionych – które spędziłem przy łóżku matki ze świadomością, że przygotowuje się na śmierć i w tym czasie próbowałem oddzielić prawdę od mitów. Gdy nie spała, rozmawiałem z nią i zadawałem pytania, a gdy spała, trzymałem ją za rękę. Mimo to nieważne, ile razy powracałem myślami do tego lata, gdy miałem dziesięć lat, nieważne, ile pytań zadałem matce, gdy leżała na łożu śmierci, nieważne, ile historii o ojcu i dziadku usłyszałem – i tak pozostaje mnóstwo rzeczy, których nigdy się nie dowiem.

Na przykład nigdy nie wiedziałem, co ojciec czuł w związku ze zmiażdżoną ręką, a jako dziecko bałem się zapytać. Ojciec nie mówił o niebezpieczeństwach; rzeka była bystra i nieubłagana, ale to na wyrębie, pomiędzy drzewami – gdzie każdy dzień jawił się jako ostatni, a piła o gładkich, wyrobionych uchwytach szumiała, sunąc w tę i we w tę – drwale stawali się nieobecni myślami. Ludzie, których znałem, ginęli zabici przez upadające drzewa, wykrwawiali się na śmierć, gdy

tępy topór odbijał się od kłody i wbijał im się w nogę, byli miażdżeni, gdy kłody spadały z wozów, tonęli w rzece w czasie spławu. Co roku ktoś wracał martwy lub okaleczony.

Kiedy miałem niecałe osiem lat, w dniu piątych urodzin mojej siostry Marie, zapytałem matkę o rękę ojca. Byłem wówczas najbliższy zwrócenia się w tej sprawie bezpośrednio do niego.

– Cieszyłam się – odpowiedziała. Siedzieliśmy na zboczu koło rynny, patrzyliśmy na rzekę i oganialiśmy się bezskutecznie od meszek. Ojciec zabrał Marie do lasu, domeny mężczyzn, w ramach jej prezentu urodzinowego.

– Cieszyłaś się?

– Że to tylko ręka – odparła moja matka i miała rację.

Tego letniego poranka Marie zabrała na porębę własny obiad, cały upchnięty razem i zawinięty w chustkę: dwa kawałki ciasta jagodowego, kilka gotowanych ziemniaków – wczesnych i skarłowaciałych – oraz małą porcję pieczonego mięsa. Ojciec pozwolił jej nieść topór, wciąż ostry i błyszczący, chociaż nieużywany od czasu wypadku. Gdy odchodzili spod domu, upierałem się, że ojciec powinien zabrać też mnie, że inni chłopcy pomagali swoim ojcom w soboty i podczas wakacji. Byłem już dość duży, aby obcinać gałęzie, aby pomagać przy koniach, aby zapracować na swoje utrzymanie.

– Dosyć już chodziłeś na wycinkę – powiedziała matka, chociaż wiedziała, że byłem tam tylko dwa razy, na urodziny. – To jest zbyt niebezpieczne. – Wiedziałem, że myśli o tym, jak kłoda stoczyła się ojcu na rękę, miażdżąc ją tak mocno, że krwawić zaczęła dopiero wtedy, gdy inni drwale ją wyswobodzili. Musiałem zrobić smutną minę, bo matka złagodniała. – Pójdziesz znowu w przyszłym miesiącu, gdy będziesz miał urodziny.

Wrócili późnym wieczorem, gdy letnie słońce dopiero co utonęło za horyzontem. Marie nadal niosła topór i cicho popłakiwała; szła sztywno, utykając, a na jej skarpetkach pokazały się plamki krwi tam, gdzie pęcherze przetarły się do żywego ciała. Ojciec szedł wolno obok niej. Matka zeszła z ganku naprzeciw Marie, ale moja siostra przeszła koło niej, wspięła się po trzech stopniach i weszła do domu. Ojciec potrząsnął głową.

– Nie pozwoliła się ponieść.
– Topora też nie?
– Próbowałem.
– No i?

Pocałował matkę, a potem znów potrząsnął głową.

– To ciężki dzień dla dziecka. Pójdzie znowu za rok, jeśli zechce.

Matka pokiwała głową i weszła do środka zająć się pęcherzami Marie, dać jej kolację i zaproponować kawałek placka.

W następnym tygodniu Charles Rondeau, tnąc powalony pień na kawałki, nie usłyszał krzyków drwali i jego ojciec, pan Rondeau, musiał wynieść zakrwawione zwłoki Charles'a z zarośli. Charles był tylko kilka lat starszy ode mnie. Miesiąc później, gdy skończyłem osiem lat, matka dała mi nowy garnitur na niedziele, gorący i drapiący, a ojciec poszedł na wyrąb beze mnie.

Pomimo śmierci Charles'a Rondeau sezon, w którym skończyłem osiem lat, był dobry, mróz ociągał się z nadejściem dłużej niż zwykle. Ojciec kazał ludziom ścinać drzewa jeszcze długo w październiku. Nie było nawet szronu, kiedy zaczęli spuszczać kłody rynną z tartaku do rzeki.

Kiedy ostatnia kłoda trafiła do wody, ojciec pomachał nam ze środka spławianego drewna, a Marie i ja biegliśmy z innymi dziećmi milę lub dwie wzdłuż brzegu i krzyczeliśmy do drwali. Mój ojciec, jak każdy mężczyzna tego roku, wrócił z Havershand roześmiany. Wszyscy drwale byli bez kurtek, długie, ostre haki do pni oparli na ramionach, a pod pachami trzymali drobne podarki dla żon i dzieci. Nawet zima była tego roku lekka, a kiedy w grudniu rzeka wreszcie zamarzła – jeszcze nigdy lód nie skuł jej tak późno – Marie i ja dostaliśmy swoje pierwsze nowe łyżwy. W pudełku była jeszcze bibułka. Boże Narodzenie przyszło wcześnie.

Co prawda podczas wakacji chcieliśmy być z ojcem na wycince, jednak zimy były lepsze, ponieważ wtedy przynajmniej mieliśmy go dla siebie.

W dni, kiedy była szkoła, przebywał w tartaku – ostrzył piły, sprawdzał księgi, pomagał swojemu zastępcy, Pearlowi, oporządzić konie – ale był w domu wtedy, kiedy my, siadywał wieczorem przy piecu i słuchał wraz z nami, jak matka, dawniej nauczycielka ze szkoły w Sawgamet, czytała nam ze swoich książek. Ojciec rzeźbił małe drewniane zabawki dla Marie – a to nierównego konika, a to jakiś gwizdek –używając chorej ręki do przytrzymywania kawałka drewna na stole. Najczęściej jednak opowiadał nam historie.

Wiem, że na wyrębie był innym człowiekiem. Musiał być inny. Trzymał ludzi w posłuchu, oni zaś trzymali się swojej pracy, a piły brzęczały, tnąc zielone drewno. Podczas gdy ich siekiery wycinały uśmiechy w sosnach i ogołacały powalone drzewa z gałęzi, podczas gdy drwale owijali kłody łańcuchami, ojciec chodził po wycince, pokrzykiwał, rozmawiał, rozśmieszał, a gdy trzeba było – chwytał za piłę. Ojciec brał drwali do galopu, a jeśli mu się stawiali, wracał do domu z siniakami, ze spuchniętym okiem, ze strupami na kłykciach. Zmuszał ludzi do posłuszeństwa.

W domu był łagodny. Wieczorami snuł opowieści o swoim ojcu, o tym, jak Jeannot znalazł złoto i założył Sawgamet, i o długiej zimie, która nastąpiła po wyczerpaniu się złóż. Mówił nam o *qallupilluit* i Amaguqu, wilczym bogu-przecherze, o wilkołakach i krwiopijczych *adlet*, o wszystkich potworach i wiedźmach z lasów. Mówił nam też o innych rodzajach magii, na które natknął się przy wycince: jak trociny, którym wyrosły skrzydła, wleciały drwalom za koszule niby komary; jak jakieś drzewo podniosło się i uciekło od ostrych zębów piły. Mówił nam o tym, jak rozszczepili jakiś pień, a w środku znaleźli królestwo wróżek, o tym, jak ściął cały las jednym machnięciem topora i jak znalazł rodzinę drzew, splecionych ze sobą i pnących się ku niebu miłosnym warkoczem.

www.facebook.com/wiatrodmorza

Wiatr od morza to…

zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach

wiatr
od morza

…gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza, miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykłe powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.

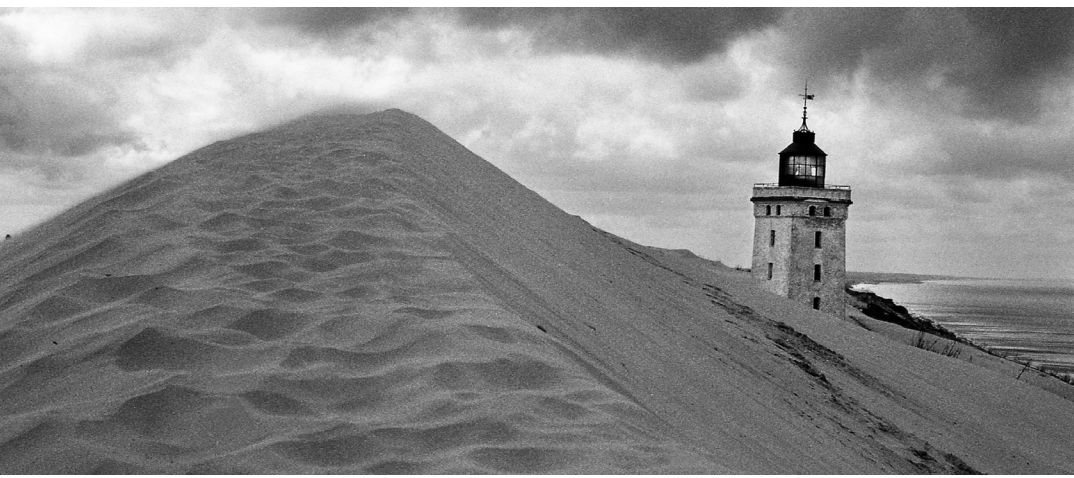

fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com